

MALY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 24.

Bydgoszcz, niedziela 28 listopada 1909.

Rok II.

Błogosław lud Twój, Panie!

Pobłogosław lud Twój, Panie,
Co Twój zamieszkuje świat,
Daj, niech Zakon Twój nastanie,
By miłował brata brat.

Błogosław włościanom, Panie,
Niech Ci od nas płynie cześć,
Niech się Twoja wola stanie,
Niech Twej łaski głosim wieść.

Robotnicy biedni, Panie,
Niech będą w opiece Twej,
Daj im chleb, własne mieszkanie,
Błogosławieństw morze zlej.

Błogosław sierotom, Panie,
Do Swego je serca tul,
Przez Twe Męki, Krwi przelanie,
Ukój ten sierocy ból.

Wszystek lud błogosław, Panie,
Za który przelałeś Krew.
Oddal za winy karanie
I Twój sprawiedliwy gniew.

Ach, Polskę błogosław, Panie,
Cały nasz stargany kraj,
Ukaż nad nią zmiłowanie
I nadziei jutrznie daj!

Kazimierz Jagiellończyk.

Król Kazimierz odebrawszy Krzyżakom Pomorze t. j. ziemie leżące nad morzem Bałtyckiem, otworzył Polsce brzegi tegoż morza. Skutkiem tego ogromnie się podniósł handel polski. Statki naładowane zbożem przyływały Wisłą do Gdańska, ztamtąd zaś polskie zboże wysyłano morzem do Szwecyi, Danii i Anglii. I tak Polska była wówczas spiżarnią i śpiechlerzem północnej Europy.

Ożywienie handlu wytworzyło w Polsce bogactwo, następnie i zbytki, zamięłowanie przepychu, ale wzrastała także chęć do nauk, pragnienie oświaty. Wszechnica, czyli najwyższa szkoła w Krakowie, założona przez Kazimierza Wielkiego, liczyła wtenczas wśród swych profesorów znakomitych mężów, jak Długosza, Wojciecha z Brudzewa, Jana z Głogowy —

a najslawniejszy polski astronom, Kopernik, w tym czasie urodził się w Toruniu.

I król Kazimierz czując potrzebę i doniosłość oświaty, starał się o to, aby pięciu synom swoim dać jaknajstaranniejsze wychowanie. Z nauczyciela swych dzieci wybrał wspomnianego wyżej Jana Długosza, znakomitego historyka i bardzo świątobliwego kapłana. Pod jego rozumnym kierownictwem młodzi królewicze: Władysław, Olbracht, Aleksander, Zygmunt, Kazimierz i Fryderyk uczyli się pilnie i wyrosli na światłych i dzielnych ludzi.

Nie żałował też książd Długosz i kary, gdy tego było potrzeba. Cały tryb życia tych synów królewskich był nader prosty i skromny. Nie było tam żadnych łakoci i zbytków, lecz proste potrawy, twarde posłanie, ubiór bardzo skromny.

Zabawy Zimą.

Każda pora roku ma swoje przyjemności i nieprzyjemności. Najwięcej rozkoszami darzy nas wiosna; cała natura rwie się do życia, i ludzie, młodzi czy starzy, zdrowi czy chorzy, korzystają z jej darów; czarownym uśmiechem jej oprzeć się nie zdołają, a z piersi wyrwa się okrzyk podziwiania: ach, jak pięknym jest ten świat! W tem podziwieniu mieści się uwielbienie Stwórcy, który go stworzył i bogactwami bez granic uposażył.

I inne pory roku, choć może wiośnie pod względem piękności nie dorównują, ale za to innymi darami nas darzą. Lato zaopatruje nas w chleb na rok cały, jesień w owoce i płody rolnicze, zima pokrywa ziemię śnieżną pościelą, aby wypoczęła i przysposobiła się do nowej życiodajnej pracy. Każda z pór roku, jak już się rzekło, ma swoje przyjemności, zima bynajmniej nie w najkapszej mierze. Lód i śnieg dają wiele sposobności do zabaw i uciech.

Śnieg.

Skoro spadną pierwsze śniegi, wypadają gromady chłopców, lepią kule i dalejże na upatrzonego. W czasie wielkich mrozów trudno kulę ulepić, gdyż śnieg nie trzyma się kupy i w rękach się rozprósza. Najlepszym jest śnieg świeży, padający wielkimi płatkami, nie suchy i nie za wilgotny: kulę z takiego

śniegu nikomu krzywdy się nie zrobi. Śniegu, który topnieje pod wpływem promieni słońca, do rzucania używać nie można, ponieważ ścisłość w dłoniach, w lód się zamienia; tak samo nie powinno się brać śniegu zmieszanego z piaskiem lub kamieniami. Byłoby to bardzo niegrzecznie i nieprzyzwoicie rzucać kulami tak niebezpiecznymi; następstwa rzucania takimi kulami są niemiłej smutne, jak rzucania kamieniami. Sądzę jednakże, że nasi mali czytelnicy są chłopcami grzecznymi, którzy z chęcią się zabawią, a nie pragną nikomu zrobić krzywdy.

Jeżeli jest więcej chłopców, powinni podzielić się na dwa oddziały; każdy oddział winien obrać sobie dowódcę, którego słuchać należy. Oddział, który wyprze drugi z zajmowanego stanowiska, wygrywa. Dowódca baczy, aby nie przyszło do prawdziwej bójki; na dany znak winni walczyć ustępować lub iść naprzód. Wielkimi szuflami do zgarniania śniegu można usypać wał, stworzyć niejako małą, śnieżną forteczkę. Jedni forteczki bronią, drudzy ją zdobywają. Forteczki broniący powinni już naprzód zaopatrzyć się w dostateczną ilość kul, gdyż w razie dłuższego nacierania nieprzyjaciela, zabrakłoby im śniegu i musieliby chyba własny wał rozbierać. Walkę można ograniczyć na pewien czas, n. p. kwadrans. Jeżeli oblegający w przeciągu kwadransu forteczki nie zdobyli, natenczas jej broniący wygrali.

Gdy rzucisz na dach bryłę śniegu, spostrzeżesz, że bryła, spadając, rośnie, staje się coraz to większą; a to dlatego, że śnieg leżący na dachu, po którym bryła się kula, przylepia się do niej. W ten sposób kulając początkowo małą grupkę śniegu po ziemi, kiedy śnieg jest dostatecznie wilgotny, ukulać możesz bryły ogromne. Ustawisz takie dwie bryły jedną na drugiej, zalap śniegiem wręby i ładnie wyglądź; będzie to korpus chłopca ze śniegu. Wsadź na korpus ten kulę mniejszą, wielkości głowy, oczy zrób z węgla, nos ze śniegu, a usta namaluj sadzami. Z boków utkwij dwa drążki i oblep śniegiem, — będą to ramiona. Dla większej uciechy możesz wsadzić mu na głowę jaki stary kapelusz albo pognieciony cylinder, chapeau-claque, a w usta włóż mały kijek — zamiast cygara. Taki chłop ze śniegu zwykle nie długo wieknie, gdyż mały, nabawiwszy się nim, w końcu do niego bombardują. Kto pierwszy łeb mu strąci, ten — król.

Do najprzyjemniejszych rozrywek, jakie zima nam nastrecza, jest bezwarunkowo sanna. Mianowicie w czasie karnawałowym kuligi są na porządku dziennym. Słowacki opisał nam w pięknym wierszu kulig polski. Wprawdzie utwór ten powstał pod wrażeniami wypadków z r. 1830, jednakże przedstawia nam właściwy obraz kuligu; dlatego wiersz ten powtarzamy:

Oto zapusty! dalej kulikiem,
Každy wesolo a každy zbrojny,
Jedzie na wojne, jak gdyby z wojny,
Z szczekiem palaszy, smiechem i krzykiem.
Dalej! kuliku w przyjaciol chaty
Zbudzimy, spiacych zabierzem z soba.
Nie trzeba wdziewac balowej szaty
Ani okrywac czola zaloba.

Tak jak jesteśmy — dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą —
Gwiazdy nam świecą, staniemy cali.

Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —
Nie trzaskaj z bicia — niechaj spi licho.
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigami szybko — cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą jak błyskawica
W okrag księzyca, złote mży w koło,
Kagańce błyszczą, Cha! cha! jak nam wesolo.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie —
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać — więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogotów pianie,
Nie h spi spokojnie, — My bez pomocy
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! oto dwór biały
I światło w oknach — dam znak — wystrzele.
Odpowiedziały mnogie wystrzały.
Ha! dobra wróżba — wszak tu wesole.
Tu szlachta pije, wyprawia gody;
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodej panny chodź panie młody,
Lecz nie patrz na nią — zalana łzami,
A lzy kobiece zmiekszą ci serce —
Wrócisz! nie zwiędna ślubne kobierce.
Teraz za nami — tak z bukietai,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlacheica,
Dam znaś, wystrzele — nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszcy —
Przebóg! tu pogrzeb — błyszczy gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna — a koło truny,
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło. —
Ha! ha! co robić tu nie wesolo;
Lecz poco długie prawie androny:
Mój panie synu, prosimy z soba.
Daj na pacierze — zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciol — Z czarna żaloba
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlacheic zamieszkał — więc drzwi uchyle —
Zielonem sukmem stolik wybity,
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do dyabla karty —
Dalej do bron! a karty w kąty!
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin grają; może kto czwartu
Do gry zasiędzi i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną. — Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie!
A my do koni — dalej i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary;
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maskary;
Panowie bracia! to maskarada
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchaj no! słuchaj! mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byleś kiedy w Minny w orszaku?
Nie — mniejsza o to: Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna —
Już w oknach wszelkie światło pogasło.
Dam znak, wystrzele, nie, po co hasło?

Tu śpią, nie słyszą, — nie nasza wina,
Ze sen przerwiemy. — Stukam we wrota
Ha! stary sługa wychodzi, świeci
Twój Pan śpi teraz? to mi to enota!

„O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zbrojnej czeredy —
A teraz cicho pusto we dworze.
Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?
Widzicie, bracia, myślą pozory;
Takiemu panu błogosław, Boże,
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! i t. d.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Smigają sanki, już świta! świta!
Na niebie błednie czoło księżycy,
Droga skończona, oto granica,
Wstrzymaj rumaka! Wstrzymaj rumaka!

Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa...
Oto jest kulik Polaka.

Dzisiajże kuligi niedorównują wprawdzie dawniejszym hucznościom, ponieważ warunki bytu są dzisiaj cięższe, a grosz trudniej wpływa — trzeba się z kieszenia liczyć. Konieczność uczy nas oszczędności, która bynajmniej nie zabrania nam zabawić się skromnie. Możemy zabawić się, wyjechać kuligiem, nie rujnując się materyalnie. Taka gremialna wycieczka sankami rozwesela umysł, a zdrowsza jest od balów w dusznych salach.

Dzieci używają sanny po swojemu; wciąż wciągają wążki saneczki (dwie małe gładkie belki i deski na poprzek) i spuszczają się na nich z pagórków często nawet bardzo wysokich. Dzieci rodziców zamożniejszych mają saneczki eleganckiejsze, ale pierwsze są bezwarunkowo bezpieczniejsze, bo mniej wywrotne. Jeżeli rodzice kupują dzieciom saneczki do zabawy, radzą kupować niskie.

Książd Maćkiewicz

bojownik za wiarę i wolność.

Powieść historyczna z powstania roku 1863.

Pastuch.

Czerwcowe słońce schyliło się ku zachodowi. Odchodząc, rzucało ziemi złote snopy promieni, które wpadając między wiśniowe liście małego sadu, muskały niedojrzałe owoce. Pod dotknięciem ciepłych, dobroczynnych promieni, wiśnie rosły, rumieniły się, czerwieniły się i przybierały smak przewyborny.

Sadek wiśniowy, ozłocony promieniami zachodzącego słońca, otaczał mały, niski dworek wiejski, który nie wiele różnił się od chaty wieśniaczej. Gdyby nie mały ganeczek, oparty na drewnianych słupach i większe okna dworku, zdawałoby się mogło, że jest to zwykła chata. Koło dworku spostrzegamy małą, niską stajenkę, opodal stodołę i studnię z żurawiem. Za wiśniowym sadkiem widać grzędy z jarzynami

i kilka uli osłoniętych rozłożystą lipą. Poza woniejącem drzewem widnieje łączka, na której rżnie trawę drobna, szczupła kobieta. Na jej twarzy, zwiedłej i pomarszczonej, maluje się łagodna słodycz. Z wynędzniałego oblicza kobiety domyśleć się łatwo, że częste troski niepokoją biedaczkę, że przeboleła wiele.

W ogródku panuje zupełna cisza, wśród której od czasu do czasu słychać szczyknięcie sierpem i brzęk pracowitych pszczółek.

Naraz rozległ się hałas. Słychać było gniewny głos męski, szlochanie dziecka i gwałtowne bicie pięścią w stół, od którego brzęczały drobne szybki w okienkach, dworku. Śród wrzawy nie można rozróżnić słów, po chwili jednakże słychać dokładnie następujące wyrazy, wymawiane gniewnie, krzykliwe:

„Do kowala oddam darmożjada! Oddam! jak mi Bóg miły! Jakem Maćkiewicz!”

Gdy głośnie krzyki i szlochania doszły do uszu kobiety, pracującej na łące, twarz jej posmutniała jeszcze więcej. Podniosła się z ziemi, a zabrawszy do płachty zerżniętą trawę, podążyła spieszenie ku domowi. Płachtę z trawą zostawiła przed dzwiami, a sama weszła przez sień do izby. W izbie pod oknem, na drewnianej, malowanej kanapie siedział mężczyzna mogący mieć blisko pięćdziesiąt lat, siedział zmęczony od pracy czy gniewu przy stole, stojącym przed drewnianą kanapką.

W drugim kącie izby, przy malowanej szafce, w której poustawiane były fajansowe talerze i szklanki z zielonego szkła, stał szczupły chłopczyzna, bosy, w drelichowych spodniach i koszuli z szarego płótna, w jednej ręce ścisnął bat, w drugiej wielką księgę, mającą karty ze starej bibuły. Chłopczyzna wciskał się ze strachu w kąt i szlochał po cichu, czasem tylko głośnie lkanie wyrwało się z piersi dziecka.

Kobieta wszedłszy do pokoju, jednym rzutem oka spostrzegła płaczącego chłopczyne i gniewnego męża. Zwróciła się też do niego, pytając:

„Co się stało?”

„Jeno obraza Boska, przez Antka niecnotę!” odpowiedział mężczyzna łagodniejszym nieco głosem.

Kobieta patrzyła pytająco na siedzącego mężczyznę, a on prawił dalej:

„Obraza Boska! przez tego darmożjada, zamiast pilnować krowiny i cielecia, pozabierał stare bibuły ze strychu i rozczytał się w nich niby książd jaki, a tymczasem łysuła z cieleciem wlaźła w przenicę sąsiada Mikołaja. Mikołaj zamiast chłopaka nauczyć rozumu, napada na mnie i wyzywa ostatnimi wyrazami, omalże w słości nie sprobowałem kija na jego grzbiecie. A nie jest że to obraza Boska? A przez kogo! a jeno przez tego niecnotę! Zamiast pilnować krowiny, bawi się w panicza. Dość już tego! pokarałby mię Bóg, gdybym chłopakowi pozwolił wyrość na próżniaka! Skoro nie chce pomagać rodzicom w krwawej pracy, niech idzie między obcych. Przy kowadle nie będzie mógł zasłaniać sobie ocz temi nieszczęsnymi bibułami!”

Podeczas gdy mężczyzna wykrzykiwał gniewnie, kobieta stała i słuchała, a od czasu do czasu spoglądała z żalem na szlochającego chłopaka.

Żalose spojrzeńce matki wycisnęło nowe potoki łez z oczu chłopczyny. Ojciec wygadawszy się, ucichł, kobieta wysłuchawszy sprawy dalej poczęła krząać się po izbie.

Nakryła stół grubym obrusem, położyła na nim chleb razowy, postawiła misę mleka kwaśnego, przyniosła z kuchni dymiące ziemniaki, a wezwawszy męża i syna do wieczerzy, sama usiadła, lecz jadła tylko z przymusu. Widocznie gniew męża i płacz syna odjęły spracowanej kobiecie apetyt, za to stary jadł z wielkim smakiem, Antek zaś półgębkiem. Szlochanie i strach przed kowalem przeszkadzały jeść głodnemu dziecku. Ojciec, zjadłszy wieczerzę, wyszedł.

W izbie została matka z synem.

„Na, jedz!“ mówiła kobieta do chłopca łagodnie. „Zawsze musisz czemś ojca pogniewać“, dodała po chwili, „wiesz, że z nim niema żartów. Widzisz przecie, że oboje z ojcem ciężko pracujemy, pomimo to nie możemy nastarczyć na wszystko, wiesz dobrze, że na przednówku często głodem przymrzeć trzeba. Powinienbyś nam w pracy dopomódz, nie jesteś przecie dzieckiem, skończyłeś lat dwa-naście!“

Chłopiec w pierwszej chwili odpowiedział szlochaniem tylko, nieco się uspokoiwszy: „Oj mamusiu! mamusiu! kiedy te książki tak mnie do siebie ciągną!“

„A czy nie dość czasu masz na czytanie książek w zimie? W lecie trzeba koniecznie bydlą w polu pilnować!“

Na łagodne słowa matki chłopiec odpowiedział głosem żalosem:

„Ale mamusiu, ja nie chcę iść do kowala!“

„Nie chcesz, a cóż zrobisz, jeżeli ojciec odda cię do niego, jak to przed chwilą powiedział!“

„Ucieknę!“ rzekł chłopiec żywo, bez namysłu.

„Gdzie? do kogo?“ zapytała przestraszona kobieta.

„W świat, do miasta, do szkoły, do książek“, odpowiedział jednym tchem chłopiec.

„Do szkoły!“ mówiła matka, „do szkoły! Ach, gdybyśmy mieli na to, chętnie oddalibyśmy cię do szkoły. Ale za co? za co oddać? kiedy tu drzwiami i oknami bieda kołace. Jednego roku grad zboże wybije, drugiego posucha, kiedy indziej zabierze woda, to i skąd brać pieniędzy. Boże, zmiłuj się nad nami“, wzdychała kobieta.

Chłopiec postawszy chwilę przy stole, położył łyżkę, poukladał szare bibuły, które wywołały gniew ojca i położył je na skrzyni koło pieca, a pocałowawszy matkę w rekę, wszedł do alkierza, ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej i modlił się rzewnie i gorąco.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ranek zimowy.

Na skrzepłych błoniach zmarło życie,
Bieg ukończony, kres już nadechodzi,
Ptaszki umilkły, lecąc w ukrycie,
Wybladłe słońce leniwo wchodzi,
A nagie drzewa schylają czoła
I gałązkami się obejmują,
Rozgłośnie żale szerząc do koła,
Że im już więzy życie krepują.
Więńce natury z liścia i kwiatów
Leżą powiedle, ich piękność w grobie,
Śmierć bladea bieży tam z górnych światów,
A cała ziemia płacze w żalobie.
Srebrne gwiazdeczki gdzie się podziały?
Księżyc wybladły patrzy z za chmury;
A dzień pogodny, miły, wspaniały,
Dziś wstaje późno, zimny... ponury...
Gdzież są ci ludzie, co wczoraj żyli?
Dzisiaj śpią, w wiecznym śnie pogrążeni,
Zeszli do grobów, walkę odbyli,
Przez życiowładną śmierć zwyciężeni.

Brzmi nad kolebką dzwon pogrzebowy,
Grób w pośród życia stoi otworem,
I dąb upada... a śpiew godowy
Często się łączy z pogrzebowym chórem.
Wszystko się zbliży do swego końca,
Tylko ty Boże, Stwórco i Panie,
Którego dziełem światy i słońca,
Sam nie ulegasz żadnej odmianie!...

H. Feldmanowski.

Zagadka.

Zgadnąć kto jestem, zgadnąć was proszę
Bo w sobie światło i ciepło noszę
Pragnie mnie możny, pragnie ubogi.
Dawnemi czasy strzegły mię bogi;
Ale nie zawsze ja dobrym bywam
Nie pożądany czasem przybywam —
Jak smok stugłowy ja ludzkie mienie
Pożeram chełwie, niosąc zniszczenie.

Zdania i myśli.

Matematyka jest królową wszystkich nauk.
Ulubieńcem jej prawda, a prostota i rzeczywistość jej strojem.

(Jędrzej Sniadecki).

Te słowa wypowiedział Sniadecki, znakomity lekarz i profesor chemii przy uniwersytecie wileńskim. Chciał w tych słowach Sniadecki oddać cześć matematyce, tej nauce, która opiera się na ścisłej prawdzie i uczy nas myśleć ściśle i logicznie. Wielkim darem Opatrzności jest talent do matematyki, otwierający drogę do rozmaitych korzystnych zawodów.

Przysłowie niesie: jaki pan, i służy tacy,
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.
Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.